

Syreny i skowronki

Tyle pieśni i słów,
Tyle mózgów i rąk,
Tyle serc jednym rytmem bijących,
Tworzy nowy nasz świat,
Niesie pokój i ład
Pod sztandarem czerwienią płonącym...

Zofia Solarzowa

Tymi słowami powitałam robotniczą Łódź. Piękna melodia tej pieśni urzekała wszystkich, którzy jej słuchali. Była to pieśń szczególnie lubiana przez kolegę Stefana Ignara, który ją słyszał i widział w inscenizacji.

Przenieśliśmy się wszyscy z wyjątkiem Cioci Leny do Brusu. Z Ciocią został Wojtuś, aby bliskość szkoły ułatwiała mu naukę. Właściwie nie była to duża odległość: jechało się kolejką-tramwajem, tak zwaną kolejką lutomierską, dwadzieścia minut, a więc chłopcy jeździli w obie strony prawie codziennie. Brusem cieszyli się, uganiali po ogrodzie, łazili po drzewach, zapraszali kolegów, nawet nocowali czasem w Łodzi, czasem w Brusie.

Ogłosiliśmy pierwszy kurs Uniwersytetu Ludowego Teatralnego w Brusie. Zwróciliśmy się do środowisk wiejskich i robotniczych. Większość zgłoszeń przyszła ze wsi, ale kilkoro młodych dziewcząt i chłopców zgłosiło się ze Śląska i innych fabrycznych ośrodków. I tak było na wszystkich czterech kursach. Nie trwały one rok, jak było w zamierzeniu. Do tego dopiero się przygotowywaliśmy i miało się to urzeczywistnić na piątym kursie.

Program wykładów nie odbiegał od programu uniwersytetu gackiego, ale przybyły nam przedmioty na czasie, nawiązujące do przemian, które zachodziły w kraju. Naturalnie przybyło dużo przedmiotów „artystycznych”, a także przygotowywających słuchaczy do pracy w świetlicach i domach kultury, do organizowania życia

kulturalnego, do bibliotekarstwa. Przede wszystkim jednak przygotowywałam młodzież do oddziaływania na ludzi poprzez wszelkiego rodzaju inscenizacje.

Po wsparcie moralne, żeby dodać sobie odwagi, zwróciłam się do Leona Schillera. Opowiadałam mu, co i jak zamierzam robić w Brusie. Wszystko to uznał za świeże, konieczne i pomyślane słusznie. Potwierdzał tę opinię w czasie naszej pracy. Ułatwiał mi korzystanie ze swoich wykładów, zawdzięczałam mu też wolny wstęp do łódzkich teatrów. Na *Krakowiakach i góralach*¹ byłam dwadzieścia kilka razy.

Nie miałam zamiaru naśladować reżyserów i aktorów zawodowych. Wiedziałam już dobrze, jak innymi środkami oddziaływać na teatr ludowy. Ale ocenę swojej pracy chciałam powierzyć artystom najwyższego lotu. Kilka miesięcy temu spotkałam na ulicy Henryka Szletyńskiego². Przypomniłam mu, jak na moje zaproszenie odwiedził Brus, aby zdać sprawę z oceny naszej pracy Schillerowi. Jego opinia była bardzo dla nas pochlebna, co szczerze mnie ucieszyło.

Każdy kurs był jednocześnie zespołem teatralnym. Uczyli się nasi młodzi przyjaciele życia i pracy w zespole artystycznym, uczyli się zasad współżycia, mobilizacji sił dla mocnego wpływu na ludzi, którym mieli służyć, a przede wszystkim organizowania warunków tworzenia form teatralnych dla treści, którymi żyje środowisko, czyli w którym powstaje teatr ludowy.

Rezultaty naszej pracy były widoczne już na pierwszym kursie. Zespół z Brusy występował na wielu zjazdach i uroczystościach w kraju. Więc na zjeździe połączeniowym organizacji młodzieżowych³ i na zjeździe, na którym z połączenia Polskiej Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza⁴.

¹ *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*, opera komiczna Wojciecha Bogusławskiego (1757–1829) do muzyki Jana Stefaniego (1746–1829). Wystawiona po raz pierwszy w Krakowie 1 marca 1794 roku w przededniu wybuchu powstania kościuszkowskiego. Po raz drugi dwa lata później we Lwowie. Do połowy XIX wieku pod zmienionym nieco tytułem *Zabobon czyli Krakowiacy i Górale* opera grywana była w całej Polsce. Od roku 1946, czyli od inscenizacji Leona Schillera w Łodzi, znalazła się w stałym repertuarze polskich teatrów muzycznych.

² Henryk Szletyński (1903–1996), aktor, reżyser, historyk i teoretyk teatru. Przed wojną aktor teatru w Kaliszu i teatrów warszawskich. Po wojnie dyrektor teatrów we Wrocławiu, Krakowie i Warszawie, wieloletni profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Najciekawsze inscenizacje: *Ożenek* M. Gogola w Teatrze WP w Łodzi (1947), *Fantazy* J. Słowackiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie (1954), *Ryszard III* W. Szekspira w Teatrze Narodowym w Warszawie (1964). Autor pracy naukowej *Kształtowanie się sztuki aktorskiej w Polsce*, kilkunastu innych książek i setki szkiców i artykułów teoretycznych dotyczących teatru.

³ W 1948 roku dotychczas działające organizacje młodzieżowe (Związek Walki Młodych, Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”, Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego i Związek Młodzieży Demokratycznej) połączyły się (nie zawsze z własnej woli), tworząc Związek Młodzieży Polskiej (ZMP).

⁴ Połączenie PPR i PPS odbyło się na Kongresie Zjednoczeniowym 15 grudnia 1948 roku.



Jeden z kursów Uniwersytetu Ludowego Teatralnego w Brusie koło Łodzi, prowadzonego przez Z. Solarzową (w środkowym rzędzie trzecia od lewej)

Do Brusu były kierowane wycieczki zagraniczne. Upamiętniła mi się szczególnie wycieczka słowacka, której przewodniczył prezydent Bratysławy, uroczy serdeczny pan.

Przed tymi odwiedzinami zjechał do Brusu sztab kelnerów z hotelu w Łodzi, przywieziono jakieś wspaniałości do jedzenia ku szczeremu i słusznemu zgorzszczeniu naszej kuchareczki Andzi, która uważała, że goście powinni być przyjęci przez samych gospodarzy, naszymi arcydziełami prostej, zdrowej kuchni, w której ona, Andzia, była nie lada mistrzem. Wzruszyła gości atmosfera Brusu, mieli łzy w oczach, kiedy młodzież inscenizowała słowackie pieśni i piosenki. Prezydent słowackiej stolicy wzruszył się bardzo ulubioną moją piosenką słowacką: *Sobotienka ide, oj cóže ma po nej*. Zwrócił nam uwagę, że prawidłowo trzeba śpiewać, nie: „uż je moja mila prez Nemca zajata”, tylko „uż je moja mila prez Turka zajata”. Ale potem zgodziliśmy się, że nowy wróg, nowe słowa w pieśni to właśnie jest – ludowe.

Wiele przedstawień dawaliśmy w Łodzi, w kilku łódzkich teatrach. Więc była *Magia w Brusie*. Sztuka, którą napisałam pod wpływem sporów z Janem Aleksan-

drem Królem⁴⁵⁷. Bronił się on przed wpływem naszego uniwersytetu w Brusie, nazywając ten wpływ magią. W sztuce on właśnie jest bohaterem. Ulega owej „magii” wbrew swej woli. Naturalnie – był to żart. Potem *Towarzysz*. Także przeze mnie napisana sztuka, mówiąca o człowieku partyjnym, który spotyka się z ludźmi ze wsi i współpracuje z nimi.

Było wiele programów inscenizacyjnych, na które składały się poezje, pieśni, piosenki, „sztuki z głowy”, inscenizacje nowel i opowiadań. Jeździliśmy po wsiach w okolicach Łodzi. Zaprzyjaźniliśmy się z Kołami Młodzieży Wiejskiej, które nas odwiedzały, a my szliśmy do nich z występem teatralnym i koleżeńską, serdeczną atmosferą naszej rodziny.

Byliśmy też stałymi gośćmi TUR. Bardzo serdecznie zaprzyjaźniłyśmy się z panią Romaną Duraczową, żoną nieżyjącego już wtedy adwokata, działacza socjalistycznego, odważnego obrońcy skazywanych przez sąd sanacyjny za politykę robotników i chłopów. Na jej prośbę inscenizowałam z zespołem jednej z fabryk *Poemat pedagogiczny* Makarenki. Była to chyba jedyna rzecz, która mi się nie udała. Zdawałam sobie sprawę z przyczyny: nie umiałam realizować cudzej myśli, to znaczy jakiegoś pomysłu jednej osoby. Cudza myśl i wyobrażenia tak na mnie ciążyły, że nie czułam swobody własnej wyobraźni.

Z zespołem, właśnie z tym robotniczym, mogłabym zrobić rzecz dobrą, to jest prawdę i wiarę, gdybym miała warunki na życie się z nim, spoufalenie, że tak powiem, z którego wynikłoby wzajemne przenikanie myśli, odczuć i wyobrażeń. Tak tworzyłam inscenizacje w swoim zespole w Szycach, Gaci i Brusie, na kursach młodzieżowych czy nauczycielskich. Tym razem miałam wykonać jakby „zleconą pracę” i nie zdobyłam się na własną inicjatywę i wyobrażnię. Rzecz wypadła miernie.

Do Brusu przychodziła świetna młodzież. Prawda, przychodzili i chłopcy, którzy wyszli z lasu, i panienki z miasta. Ale w naszym wspólnym życiu prostowały się krzywizny, topniały twardzizny serc. Młodzież wychodziła z umiejętnością organizowania życia rodzin społecznych, uczyła się też samodzielnie inscenizować różne utwory poetyckie, organizować repertuar, dostosowywać go do środowiska i oddziaływać dodatnio na ideowe, szczere i oparte na rozumieniu życia postawy ludzi w swoim środowisku.

⁴⁵⁷ Jan Aleksander Król (1915–?), absolwent gimnazjum w Kielcach i Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział Humanistyczny), żołnierz wojny obronnej we wrześniu 1939, żołnierz Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Po wojnie prezes Tymczasowego Zarządu Głównego ZMW „Wici”, działacz lubelskiego Stronnictwa Ludowego, poseł do Krajowej Rady Narodowej (1941–1946) i Sejmu (1947–1956). Redaktor naczelny tygodnika „Wieś” (1944–1954) i zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Wieś Współczesna”. Od 1960 roku na emigracji w Kanadzie.



Sluchacze Uniwersytetu Ludowego Teatralnego w Brusie

Po każdym kursie otrzymywaliśmy wieści o ich pracy. Do dnia dzisiejszego wielu z nich rzetelnie i twórczo pracuje w świetlicach wiejskich i w środowiskach robotniczych. Niektórych z nich odwiedzam i wracam od nich pokrzepiona.

Słynął też Brus ze śpiewu. Znali nas dobrze tramwajarze i ludzie dojeżdżający do Łodzi „lutomierską kolejką”. Często prosili: „Zaśpiewajcie”. Najczęściej prosili o piosenkę właśnie... o tej kolejce, którą jechaliśmy:

Lutomierska kolejka nadchodzi,
Jak spokojnie i poważnie jak,
To nie tramwaj, co biega po Łodzi,
Ona przecież daleki ma szlak.
Jasne oczy jej świecą na przedzie
I nie dzwoni jak tramwaj, a gra,
Bo Lutomiersk to czuje, że jedzie,
Bo w motorze – duszę ma...

Dalszych słów tej piosenki już nie pamiętam. Kiedy nasz zespół ją śpiewał, ludzie prosili o powtórzenie, wzruszali się, zapisywali sobie słowa. Szczególnie serdecznie prosili motorniczy i konduktor. Mówili: „Zaśpiewajcie naszą piosenkę”. A wędrowaliśmy tą kolejką bardzo często. Między innymi na lekcję

rytmiki do pani Mieczysławskiej, wspaniałej pani, wielkiej artystki i przedobrego człowieka. Jeździliśmy też i do kina, na zebrania robotnicze i młodzieży wiejskiej, także akademickiej. Jeździliśmy również z gwiazdą. Tak, na Boże Narodzenie, kiedy to chodzi się po wsiach od chalupy do chalupy z szopką, z „turonem” i właśnie z gwiazdą. Jeździliśmy do przyjaciół w Łodzi tak jak do sąsiadów na wsi.

Na jednym z kursów śliczną gwiazdę zrobił słuchacz z Wileńszczyzny. Umyśliśmy sobie, że pójdziemy z nią do kolegi Stefana Ignara, do wojewody Jana Dąb-Kocioła⁶, do Leona Schillera i do generała Karola Świerczewskiego. No i pojechaliśmy. W kolejce trzeba było wyśpiewać nie tylko piosenkę o niej, ale także nasze kolędy, z naszymi słowami, wieszczące dobrą nowinę w ludzkich sercach.

Jakże gościnnie byliśmy przyjęci. Najdłużej zabawiliśmy u kolegi Ignara. Mały synek mówił nam wierszyki, a z jego ojcem pogadaliśmy jak za dawnych czasów.

Schillera odwiedziliśmy w teatrze. Właśnie miało się rozpocząć przedstawienie, na którym obecni byli państwo Joliot⁷. Kurtyna jeszcze była spuszczone. Wielki reżyser zaprosił nas na scenę, gdzie „ośpiewaliśmy” go w kole i zaśpiewaliśmy kolędy. Publiczność domagała się podniesienia kurtyny. Musieliśmy jednak iść dalej. Schiller uścisnął wszystkie pięćdziesiąt rąk, był ogromnie serdeczny, a my wzruszeni.

Teraz czekała nas wielka przygoda. Wojewoda Dąb-Kocioł z żoną poszli z nami do generała Świerczewskiego, u którego czekało nas wspaniałe przyjęcie. Uroczą młodą żoną generała po siostrzanemu obejmowała dziewczęta, zapraszała, częstowała, zdobyła sobie serca nas wszystkich. Oboje gospodarze byli szczerze „wzięci” inscenizacjami zespołu, które odbyły się w dużym, pięknym pokoju. Ciepła atmosfera, piękne otoczenie, podniecająca obecność generała – wszystko to wpłynęło na rzeczywiście sugestywne oddanie przygotowanego programu przez wzruszoną młodzież.

⁶ Jan Dąb-Kocioł (1898–1976), absolwent Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, pracownik spółdzielczości na Kresach, działacz Wołyńskiego ZMW w Sarnach (1931–1935), członek SL od 1931 roku. Uczestnik wojny obronnej 1939 roku. W czasie okupacji w Armii Ludowej, a po wojnie w lubelskim SL, następnie w ZSL. Poseł do KRN (1944–1947) i do sejmu (1947–1969). Wojewoda łódzki (1945–1947), minister rolnictwa i reform rolnych (1947–1953), minister leśnictwa i przemysłu drzewnego (1953–1961), członek Rady Państwa (1961–1965). Autor wspomnień *Moje życie, prace, myśli*.

⁷ Irena Joliot-Curie (1897–1956), chemik i fizyk, profesor Sorbony, dyrektor Instytutu Radowego w Paryżu, współodkrywczyni (razem ze swoim mężem Frédériciem Joliot-Curie) zjawiska sztucznej promieniotwórczości, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1935 roku. Frédéric Joliot-Curie (1900–1958), francuski fizyk i chemik, członek Francuskiej Akademii Nauk, także członek PAN i Radzieckiej Akademii Nauk, współodkrywca (razem ze swoją żoną) zjawiska sztucznej promieniotwórczości, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1935 roku, członek Komunistycznej Partii Francji.

Otóż właśnie. Nie nazwisko, nie legenda, ale przede wszystkim osobowość generała była czymś niezwykłym. Przyznaję się do tego, że do każdego z „nowych ludzi” zbliżałam się zawsze z niepokojem. Nie uprzedzeniem, ale z niepokojem. Tu od pierwszej chwili pozbyłam się tego uczucia. Prostota, serdeczność, wewnętrzna siła, jaką promieniował, tworzyły w sumie postać wielką. Nie mogliśmy się rozstać. Generalał mówił nam dobre słowa o znaczeniu naszej pracy. Cieszył się, że mamy w gromadzie chłopskiej także młodzież robotniczą. Mnie osobiście okazali oboje gospodarze tyle serdeczności, że czułam się jak wśród najbliższych ludzi.

Wędrowaliśmy też na każde zakończenie roku do Szkoły Partyjnej w Łodzi. Przemawiałam zawsze na uroczystym pożegnaniu wychowanków tej szkoły. Mówiłam, co uważałam za stosowne, nikt nie sprawdzał, nie kontrolował. A zawsze było blisko i swojsko, chociaż przychodziłam do nich ze słowem od wsi, z życzeniami szanowania i rozumienia tej wsi. Na część artystyczną tych uroczystości składały się nasze występy. W naszym programie staraliśmy się ukazać działaczom robotniczym urok poezji i obyczaju wsi, a także wyrazić wiarę w ich ideowość, rzetelność i gotowość służenia krajowi.

Stałymi gośćmi Brusu byli tacy działacze partyjni jak Aleksander Kowalski⁸, chociaż spod „innego znaku”, jak Jadwiga Siekierska⁹ i Jan Guranowski. Odbywały się po ich wykładach dyskusje żarliwe – ale zawsze w atmosferze wzajemnego szacunku. Dyskusje skłoniły mnie do ułożenia takiej piosenki: (melodia piosenki *Wędrowali szewcy*).

Wędrujemy z Brusu przez Szyce i Gać,
Chcemy coś ludziskom na pamiątkę dać.
Żeby o nas pamiętali i szukali, i pytali,
Dokąd wędrujemy przez Szyce i Gać.

⁸ Aleksander Kowalski (1908–1951), działacz komunistyczny, od 1928 roku członek KPP. Następnie w ZSRR. Od 1942 roku ponownie w Polsce jako członek grupy inicjatywnej PPR (w PPR od 1942 do 1948 roku). Przewodniczący Zarządu Głównego Związku Walki Młodych (1945–1948). Poseł do KRN i do sejmu (1945–1951). W 1948 roku usunięty z władz partyjnych za tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne.

⁹ Jadwiga Siekierska (1903–1984), teoretyk i krytyk literatury, urodzona w Chersoniu na Ukrainie, od 1921 roku mieszkała w Moskwie, gdzie ukończyła Wydział Filozoficzny Instytutu Czerwonej Profesury. Debiutowała w prasie radzieckiej jako krytyk literacki. Następnie pełniła ważną funkcję kierownika krytyki i teorii literackiej w moskiewskim Państwowym Wydawnictwie Literatury Pięknej (1934–1935). Za „nieprawomyślność i błędy” trafiła na osiem lat do lagru (1937–1945). Po powrocie do Polski pracowała jako kierownik katedry materializmu dialektycznego i historycznego Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych (1950–1956). Po wydarzeniach październikowych wyjechała na placówkę dyplomatyczną do Holandii. Jest autorką rozpraw literackich, reportaży z ZSRR i Chin oraz wspomnień.

Więc wiciarzom damy taką złotą nić,
Co z serca do serca ma się snuć i wić.
Niech się snuje, niech się splata
Jeden z drugim kraniec świata,
Więc wiciarzom damy taką złotą nić.

Politykom damy taki prosty znak,
Żeby raz wiedzieli, gdzie nie, a gdzie tak.
Żeby prawdą wojowali,
Prawdą prawdę zdobywali,
Politykom damy taki prosty znak...

I tej piosenki nie pamiętam już całej.

Pewnego razu odwiedzili mnie dwaj młodzi ludzie w mundurach, uczniowie milicyjnej szkoły oficerskiej w Łodzi. Poprosili o pomoc w przygotowaniu „sztuki z głowy”. Ktoś im powiedział, że to ja takie rzeczy inspiruję i że na pewno im pomogę. Chętnie się zgodziłam. Chodziło im o sztukę na czterolecie działalności Milicji Obywatelskiej. Tematem miała być sprawa kulaków na wsi. Umierałam z ciekawości, jak też moi nowi przyjaciele postawią sprawę politycznego „wydźwięku” tej sprawy. Jak się spodziewałam, chcieli pokazać kulaka grubego i odpychającego, przeklinającego, kopiącego nawet biednego służącego.

Nieśmiało próbowałam namówić ludzi w milicyjnych mundurach na inny obraz: że nawet ludzki, miły w obcowaniu człowiek może się okazać w pewnych sytuacjach szkodnikiem społecznym, egoistą niewrażliwym na los drugiego człowieka, że sprawa wyzysku człowieka przez człowieka nie jest tak prosta, jak się wydaje. Że kulak to niekoniecznie ten gospodarz, który ma dużo ziemi, ale ten, który dla własnego interesu niszczy innych ludzi, marnuje cudze dobro.

Dużo było argumentów po obu stronach, ale w końcu przekonałam miłych młodych ludzi. Ułożyliśmy razem sztukę, wybraliśmy aktorów i zaczęły się próby. Ciekawie przebiegały te próby. Przyszli stróże bezpieczeństwa byli bardzo inteligentnymi, kulturalnymi ludźmi. Na kilka dni przed wyjazdem do Warszawy na eliminacje przyjechał ze stolicy oficer polityczny, aby obejrzeć próbę, zorientować się w wyrazie ideologicznym tego samorodnego przedstawienia. Jakże byłam zdziwiona, kiedy pochwalił grających za takie właśnie potraktowanie tematu. Powiedział wyraźnie to samo, co ja tłumaczyłam młodym kandydatom na oficerów milicji.

Wszystko co tu piszę pamiętają oni na pewno, chociaż upłynęło od tego „czterolecia” tyle czasu, a oni są może teraz na wysokich stanowiskach, może na tak wysokich, że z tego szczytu przestają być widoczne takie wydarzenia jak przedstawienie „sztuki z głowy”. Chociaż... powinni pamiętać, bo przecież ta nasza sztuka otrzymała pierwsze miejsce na owych pamiętnych eliminacjach.

Dziwnym trafem jeszcze raz spotkałam się z milicją. A było tak. Ministerstwo Rolnictwa przyznało mi gospodarstwo rolne. Miałam sobie wybrać „miejscie na ziemi”, czyli w kraju. Po długich staraniach znalazłam śliczny folwarczek niemiecki należący do MO, ale... osiemdziesięciohektarowy. Właśnie wojsko milicja pozbywały się majątków ziemskich, które były w ich tymczasowym posiadaniu. Należało się udać do generała Franciszka Jóźwiaka¹⁰, milicyjnego woźny. Poszłam. Powiedziałam, że chcę osiedlić na tej ziemi kilka rodzin naszych zycaków i gacaków. Że zorganizujemy spółdzielnię pracy rolnej.

General Jóźwiak najpierw śmiał się serdecznie, mówił, że przecież nie organizuje się w Polsce kołchozów. Ale widocznie tak argumentowałam i tak gorąco przekonywałam go o słuszności mojej sprawy, że zgodził się po prostu oddać ten majątek w okolicy Włocławka, znanej szczególnie ludowcom ze sławnej szkoły rolniczej w Kruszynku, założonej przez Jadwigę Dziubińską, z żywego śródczego ruchu zaraniarskiego. W piśmie urzędowym miałam wpisane te pamiętne słowa, że otrzymuję gospodarstwo niemieckie Mikołajki w celu założenia w nim spółdzielni rolnej.

Wszystko to przemyślałam i przedyskutowałam z koleżankami i słuchaczami z Brusie. Żyliśmy sprawą tej spółdzielni jak sprawą wspólną nam i bardzo drogą. Ogłosiłam tę nowinę w „Wiciach”¹¹, które jeszcze wtedy wychodziły. Zgłosiło się siedem rodzin: Stefa Szylarówna-Trądowa z Markowej z mężem Stanisławem, Kasia Rodacka, wtedy już Rusinkowa, z Gaci (nasza Kasia), Józek Kuc, słuchacz z poprzedniego kursu w Brusie, Marysia Wiśniewska, także słuchaczka z Brusu, Onufry Grudniak, gacak z powiatu garwolińskiego, nasza Andzia z Brusu z mężem, Janem Olszewskim, administratorem gospodarstwa przydzielonego mi do Brusu, i nieznany mi człowiek, którego list przemówił do mnie szczególnie przekonująco, rolnik z zawodu i zamilowania, Kościuk (już nie pamiętam imienia).

No i powstała spółdzielnia. Najpierw bez statutu, który z pomocą kolegów prawników zaczęliśmy opracowywać. Jeździłam na walne zebrania, biegałam po wsiach, pieściłam kasztankę, która podobno miała być moja... Postanowiłam zamieścić się tu z rodziną, ku wielkiej uciechu chłopców, którzy z pasją poma-

¹⁰ Franciszek Jóźwiak (1895–1966), polityk, żołnierz Legionów, od 1921 w KPP (12 lat spędził w więzieniach), członek PPR (od 1942 roku), szef sztabu Gwardii Ludowej i Armii Ludowej (1942–1944). Po wojnie komendant główny MO (1944–1949), poseł do KRN i do sejmu (1944–1956), prezes Najwyższej Izby Kontroli (1949–1952), wicepremier (1955–1956). Jako przedstawiciel „natolińczyków”, stalinowskiej frakcji w partii, został po zmianach październikowych odsunięty od życia politycznego.

¹¹ „Wici”, tygodnik społeczno-polityczny ukazujący się w latach 1928–1939 oraz w 1944–1948. Zakładowany po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego (1948). Kolejne próby reaktywowania tygodnika w 1957 i w 1980 roku skończyły się niepowodzeniem.

gali przy robotach żniwnych, a także Cioci Leny, dla której już planowałyśmy ogród i pasiekę.

Miałam tu mieć dwanaście hektarów, a z czasem, kiedy spółdzielcy pobudują sobie domy, to i ten dom mieszkalny, w którym kilka rodzin ulokowało się tymczasowo. To była dla nas wielka radość. Marzyłam, że z czasem, kiedy tu osiadę na stałe, zorganizuję w Mikołajkach¹² dom ludowy dla wsi Jerzmanowo¹³ (do której Mikołajki należały) i dla wszystkich najbliższych wsi. Marzyłam, że to będzie nowy, ogromny, z pracowiskiem rolnym związany uniwersytet ludowy.

Potem nastaly spółdzielnie produkcyjne i naturalnie Mikołajki stały się jedną z nich. Od razu trzeciego typu, to jest spółdzielnią, w której ziemia nie została wydzielona dla poszczególnych członków, lecz tworzyła jeden, wspólnie uprawiany obszar rolny, chociaż każdy ze spółdzielców wniósł swój wkład w ustalonej na zebraniu walnym liczbie hektarów.

No cóż, nadal jeździłam, radziłam, cieszyłam się spółdzielnią, chociaż marzenia moje o osiedleniu się tam przestały mi zaprzętać głowę. Bardzo nam było żal. Ale naprawdę cieszyłam się, że moi przyjaciele tak pięknie tam pracują. Ludność okoliczna niechętnie, podejrzliwie przyjęła naszą gromadkę.

Po kilku latach Mikołajki stały się wzorem gospodarności i współzycia sąsiedzkiego. Kolega Kościuk, świetny rolnik, kolega Olszewski, również rolnik doświadczony, a przy tym wzorowy, wyszkolony księgowy, kolega Grudniak, także znający się na rolnictwie i uparty w pracy, wszyscy mądrzy i pracowici ludzie, stworzyli wspaniały zespół spółdzielczy. Był to także zespół doradczy dla sąsiadów, wysoce szanowany i lubiany. Mikołajki przez szereg lat utrzymywały sztandar przechodni jako wzorcowa spółdzielnia produkcyjna.

Nie z winy tego zespołu spółdzielnia się rozpadła.

Wiele dobrego zyskali spółdzielcy w Mikołajkach. Leczyli się skutecznie, bezpłatnie, dzieci ich miały opiekę, otoczeni byli szacunkiem. Dorobili się. Dziś wszyscy mają swoje domy.

Chociaż przez jakiś czas wyjeżdżałam często do Mikołajek, praca w Brusie nie cierpiała na tym. Koleżanki i kolega Olechnowicz¹⁴, przezacny, serdeczny

¹² Mikołajki, miejscowość niesolecka w gm. Boniewo w pow. włocławskim.

¹³ Jerzmanowo, wieś w gm. Boniewo w pow. włocławskim.

¹⁴ Adolf Olechnowicz (1908–1986), studiował prawo na Uniwersytecie Wileńskim, pracował jako oficer oświatowy w Korpusie Ochrony Pogranicza, organizator kół „Siewu” na Kresach. W czasie okupacji w Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Po wojnie wykładowca Uniwersytetu Ludowego w Brusie (1945–1946) i kierownik Uniwersytetu Ludowego w Gluchowie (1946–1951). Kierownik ośrodków szkoleniowych Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” oraz Centralnego Związku Kółek Rolniczych.

wiek, prowadzili wykłady i uczestniczyli w życiu słuchaczy jak najlepsi przy-
ele.

Kiedy odszedł kolega Olechnowicz, udało mi się uprosić do Brusu na stałe
ładowcę literatury Stefana Lichańskiego¹⁵, publicystę, literata i krytyka, ów-
śnie należącego do zespołu redakcyjnego czasopisma „Wieś”¹⁶. Wiedziałam,
nie był on ideowo zespolony ani z Janem Aleksandrem Królem, ani z większo-
ścią kolegów w redakcji. Ale pociągala go właśnie – wieś. Problemy przemienia-
ego się w nowych warunkach ustrojowych społeczeństwa chłopów.

Wysoko ceniłam pana Stefana, jego umysł nieprzeciętny, ogromną wiedzę
rado spotykaną prawosć. Być może jego wykłady były nieco za trudne dla naszej
młodzieży. Ale okazało się, że rozbudzały zainteresowania i wprowadzały słucha-
cy w dziedzinę życia intelektualnego, uczyły ich myśleć o sprawach niełatwych,
dotykały poziom życia wewnętrznego i kultury umysłowej naszego zespołu.

Także wykłady o przyrodzie koleżanki Anieli Siemieniakówny, jak zawsze,
wazywały słuchaczom świat w jego procesach przemieniających życie w przy-
rodzie, prawa rządzące życiem przyrody, więc i życiem człowieka. Wykłady ko-
żanki Marysi Biernackiej o spółdzielczości, historii i o tym wszystkim, co
czenie można nazwać socjologią, a nawet kulturą ludową, wiązały młodzież na-
złą ze środowiskiem wiejskim, z wielką rodziną spółdzielczą i ludową.

Ja, przyjętym już zwyczajem, prowadziłam swoje wykłady o rodzinie, a przy-
jęciach teatralnych wykladałam także literaturę, konieczną ze względu na re-
pertuar sceniczny i ładunek ideowy... co wcale nie kolidowało z wykładami ko-
legi Lichańskiego.

Administrację i organizację naszego życia gospodarczego prowadziła Stefa-
Szychtowna, pochodząca z okolic mego męża. O Stefie można opowiadać bez
końca. Jej dobroć, żywiołowość, wspaniała postawa i uroda, ruchliwość i głos
przeszywający mury i chmury, wesołość i dziecięca naiwność przy mocnej gło-
wie i gorącym sercu, jej rzetelność i życzliwość dla całego świata tworzą zespół
wartości niepowtarzalnych, oryginalnych i bardzo radosnych.

Naszym „ministrem finansów” była pani Alina Lichańska. Mądra, solidna,
zżyta z nami i życzliwa naszym sprawom, miła pani. Z takim zespołem ludzi
można było konie kraść, jak to się mówi o świetnie dobranych, zżytych zesp-

¹⁵ Stefan Lichański (1914–1983), krytyk literacki i eseista, absolwent Uniwersytetu Łódzkie-
go (filologia polska), w czasie okupacji więzień Auschwitz. Po wojnie dziennikarz tygodników
„Wieś” (1945–1947) oraz „Dziś i Jutro” (1952–1956), redaktor Państwowego Instytutu Wydawni-
czego. Opublikował: *O metodzie badań kultury ludowej*, *Kuszenie Hamleta*, *Cienie i profile*.

¹⁶ „Wieś”, tygodnik społeczno-kulturalny ukazujący się w latach 1944–1954 w Lublinie
(1944–1945), w Łodzi (1945–1949) oraz w Warszawie (1949–1954). Połączony z „Przeglądem
Kulturalnym”. Redaktor naczelny Jan Aleksander Król.

ludzkich. Myślę, że przy wielu moich brakach i ułomnościach mam tę zaletę, że umiem sobie w pracy dobierać ludzi. Jakoś wyczuwam ich, poznaję którymś tym, siódmym czy ósmym zmysłem. Przypominam sobie, jak doktor Eustachy Nowicki, założyciel czy raczej organizator Szyc, zawsze radził się mnie przy wyborze pracowników do Szyc, a także do innych placówek, które organizował. Mówił, że mam nosa do ludzi, że dopóki ja nie potwierdzę jego wyboru, nie jest pewny, czy wybrał dobrze.

Staralam się zawsze dobierać do współpracy ludzi obdarzonych przez naturę cechami i wartościami, których mnie brakowało. Musiałam szanować, musiałam uznawać wyższość ludzi, z którymi miałam współpracować, wyższość nad sobą w takiej czy innej sprawie czy dziedzinie. Zespalande wysiłków ludzi wartościowych w jeden nurt ideowy i wychowawczy było zawsze moją pasją. Może dlatego tak sugestywny był wpływ naszej gromady i na ludzi ku którym szliśmy do wspólnej narady czy sprawy, i na ludzi na każdej widowni teatralnej. Umieliśmy się też bawić. Wyrażać radość z tego wszystkiego, co dawaliśmy życiu i co ono nam dawało. Nawet w zabawie nie rezygnowaliśmy z budzenia w ludziach jakiejś isierki myślenia i serdecznego, społecznego czucia.

Przypominam sobie jakąś bardzo szumną zabawę w Warszawie z udziałem najwyższych dostojników państwowych i partyjnych. Tańczyliśmy wszyscy do upadłego, było wesoło, prosto. Bolesław Bierut¹⁷ i Osóbka-Morawski¹⁸ tańczyli z naszymi słuchaczkami. Ale potem zaśpiewaliśmy im serdecznie piosenkę, która się na tej zabawie urodziła:

Hej pod górą dolina,
Idzie światem nowina.
Idą chłopci do świata
Ludzi wołać i bratać.
Służyć ręką i radą
Wszystkim ludzkim gromadom.
Ci co rządzą dziś krajem,
Niech się w naród wsłuchują.

¹⁷ Bolesław Bierut (1892–1956), działacz komunistyczny, członek KPP (od 1918 roku), kilkakrotnie aresztowany, od 1943 roku w kierownictwie PPR, prezydent Krajowej Rady Narodowej (1944–1947), prezydent RP (1947–1952), sekretarz generalny PPR (1948), przywódca PZPR (1948–1956). Lojalny wykonawca poleceń Stalina, otoczony armią doradców sowieckich, był osobiście odpowiedzialny za terror i komunistyczne zbrodnie popełniane w Polsce do 1956 roku. Zmarł w Moskwie w 1956 roku w czasie XX Zjazdu KPZR.

¹⁸ Edward Osóbka-Morawski (1909–1997), w okresie międzywojennym mało znany działacz socjalistyczny w Kieleckiem i Łódzkiem. W czasie wojny rozpoczął współpracę z komunistami. Poseł do KRN i do sejmu (1944–1952), przewodniczący Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (1944), premier Rządu Tymczasowego i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (1944–1947). W 1949 roku odsunięty od działalności politycznej.

Naród żyje i czuje,
Dom świetlisty zbuduje...

A wszystko, co w pieśni i poezji mówiło się wtedy o sprawach ziemi i wspólnoty, inscenizowałam z młodzieżą w Brusie ze szczerym przekonaniem o słuszności zmian, które przynieśli nowi gospodarze naszego ludowego państwa, z wiarą w ich ideowość, w ich szacunek dla narodu i dla naszego chłopskiego dorobku.

Wiersz Józefa Ozgi-Michalskiego¹⁹, mówiący o parcelacji dworskiej ziemi: *Myslałem o tobie, ziemio* stał się za naszą sprawą podniosłą inscenizacją, jak radziecka pieśń kolchozowa, bardzo zresztą piękna i w słowie, i w melodii: *Hej wy konie, rumaki stalowe*²⁰, czy także *Grenada* Swietłowa²¹.

Przyjechał w tym czasie do mnie i Cioci Leny profesor Stefan Stasiak. Mieszkał przez jakiś czas u mnie, potem u Cioci. Znow wspomnienia, przeszłość jak żywa, chociaż nie mówiło się o niej, ale myślało się, żyło się Miąsem, Paryżem. Profesor był w Brusie, tak jak w Gaci, dobrym cieniem, jakimś uśmiechem z nieznanego świata. Nikomu nie przeszkadzał. Wszyscy słuchacze, koleżanki, koledzy moi czuli się w jego obecności spokojniejsi, lepsi.

Nie przesadzam. Nie silę się na odtworzenie w słowach postaci i osobowości tego niezwykłego człowieka. Na to trzeba by mistrza słowa.

Mnie darzył profesor uczuciem ojcowskim czy też uczuciem mistrza, guru – jakby powiedział Hindus. Wszyscy zresztą tak właśnie byliśmy zmuszeni go odczuwać i traktować.

Mój starszy syn po wielu latach zaniedbań w nauce wziął się w garść i niespodziewanie wyjechał do Gdańska, gdzie zdał na tamtejszą politechnikę i przez rok uczęszczał na nią. Przeniósł się na Politechnikę Warszawską wtedy, kiedy ja pojechałam do stolicy. Młodszy uczył się dobrze, interesowały go, a nakiędy ja pojechałam do stolicy. Młodszy uczył się dobrze, interesowały go, a nawet pasjonowały sprawy „męskie”, takie jak szybownictwo, narciarstwo i wodniactwo, które zresztą obaj chłopcy uprawiali od najmłodszych lat.

Łączyła mnie z synami przyjaźń. Lubili moją pracę, cenili środowisko. Starszy wszedł w okres interesowania się zabawami, dziewczętami, umiał się bawić,

¹⁹ Józef Ozga-Michalski (1919–2002), działacz ludowy, literat. W czasie wojny w Batalionach Chłopskich, po wojnie w lubelskim SL, następnie w ZSL. Przewodniczący Krajowego Komitetu Demokracji „Wici”. Poseł do KRN i do sejmu (1945–1989), wicemarszałek sejmu (1952–1956), członek Rady Państwa (1957–1976), autor tomików poezji, powieści, tłumacz fińskiego eposu narodowego *Kalevala*.

²⁰ *Hej wy konie, rumaki stalowe*, radziecka pieśń zniwiarzy powstała w latach 30. XX wieku. Słowa: Wasyl Lebiediew Kumacz, muzyka Izaak Dunajewski (1900–1955). Autor przekładu: Leon Pasternak (1910–1969).

²¹ Michail Swietłow (1903–1964), rosyjski poeta i dramaturg, autor wierszy lirycznych i refleksyjnych. *Grenada* należy do najbardziej znanych utworów Swietłowa. Wybór jego poezji, wydany w Polsce w tłumaczeniu Juliana Tuwima (1894–1953), jest zatytułowany *Grenada i inne wiersze*.



Uczestnicy kursu na Uniwersytecie Ludowym Teatralnym w Brusie z wizytą u dyrektora Bolesława Dejworka

bawiąc innych, zżył się serdecznie ze słuchaczami. Młodszy raczej miał zawsze swoje środowisko kolegów, był dzieckiem poważnym, chociaż żart i dowcip trzymały się go zawsze, co odziedziczył zapewne po ojcu.

W Łodzi mieliśmy wielu przyjaciół. Z czasem mocna przyjaźń utrwaliła się pomiędzy nami a akademicką młodzieżą wiciową. Serdeczną opieką darzyli nas koledzy z Kuratorium Szkolnego, między innymi kolega Dzienisiewicz. Prezesem towarzystwa opiekującego się Brusem był kolega Kazimierz Iwanowski. Przyjaźń okazwali nam akademicy wiciarze z „grupy Ignara”, jak się wtedy mówiło, chociaż już zaczął się wkładać pomiędzy nas jad nieufności, która narastała latami. Oczywiście nie z naszej strony. Po prostu rozchodziły się nasze drogi. Moda była wtedy na mówienie: „Wprawdzie Solarz był dobrym wychowawcą, ale mylił się i błdził”.

Nasi słuchacze, którzy przyszli wprost z partyzantki, powoli zapominali o wojnie, wzywali się w nowe sprawy polskiego życia, w czym bardzo im pomógł Brus.

Zaprzyjaźniłam się z Jakubem Gossą z Opoczyńskiego. Jego pierwsza żona była naszą wychowanką. Jakub był i jest człowiekiem, o którym powinno się mówić, pisać dla podtrzymania wiary w konsekwencję i niezłomność ludzką, w przenoszenie ponad osobiste sprawy bytowe i ambicjonalne – sprawy, której tacy jak on służą. Przeżył klęskę większą jeszcze niż ja w Dunajcu, ale jest młody i również nie zrezygnował z walki.

Powracały nasze koleżanki z obozów. Wróciła Jadwiga Mierzejewska, która w Auschwitz organizowała życie artystyczne, na przykład obrzędy gwiazdkowe. Po prostu trudno nam było uwierzyć, że przy dymiących piecach krematoriów, w obliczu grożącej co dzień śmierci mogła się zdobyć na taką podniosłość duszy. Potem w Szwecji zorganizowała w Operze Królewskiej w Sztokholmie wielkie widowisko polskie, na które złożyły się inscenizacje obrzędów związanych z czterema porami roku. Zaproponowano jej objęcie kierownictwa baletu w Operze Królewskiej... Ale nie wiedziała nic o synku pozostawionym u krewnych. Wracała do niego, do kraju.

Wróciła koleżanka Marysia Maniakówna. Nie mam prawa opowiedzieć o wszystkim, co przeszła na Pawiaku i w Auschwitz. Ona zaczęła po wielu latach mówić o tym strasznym swoim czasie, ale mówi jeszcze bardzo oszczędnie, bardzo skromnie. Wierzę, że napisze więcej.

W Szwecji dowiadywali się nasi wyzwoleni z Auschwitz więźniowie o tym, co się dzieje w kraju, kto z bliskich żyje... Między innymi Marysia dowiedziała się o mnie z prasy, która podawała wiadomość o pierwszym zjeździe literatów (oddział wiejski – miałam na nim referat).

Tymczasem w kraju życie staje się coraz bardziej urozmaicone. Uniwersyte-ty ludowe, tak zwane „Solarzowe”, okazały się zbędne w nowych warunkach, więc je zamknięto. Tak się złożyło, że w każdym z nich był jakiś wyjątkowo ważny powód do zamknięcia go. W Brusie miały być niedokładności (braki) w kasie. Uratował mnie przezacny człowiek, sekretarz Związku Samopomocy Chłopskiej, późniejszy minister – Marian Jaworski²². Jak mi mówili koledzy obecni na jakimś likwidatorskim zebraniu ZSCh, uderzył pięścią w stół i kategorycznie zaprote- stował przeciwko czyjejś szczerzej chęci skompromitowania mnie.

Likwidację Brusa przeżyłam nielekko. Urzędnik, który dokonywał tego dzie-ła, upokarzał mnie na każdym kroku, posądzał o przywłaszczenie jakiejś teczki, to znów szafy, mówił do mnie, nie patrząc na mnie, tonem moralisty typu wię-ziennego. Ale trzeba się było pozbierać. Wierzyłam, że będzie w Polsce inaczej, lepiej i coraz lepiej po pierwszych nieporozumieniach czy błędach.

Zaproponowano mi pracę w Centralnym Zarządzie Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Cukrowniczego. Poszłam tam z nową ciekawością lu- dzi, z nowymi siłami. Zostałam instruktorem artystycznym tego związku na kraj. Z pasją wyruszyłam w Polskę. Jeździłam wszędzie, gdzie były wytwórnie przemysłu spożywczego, poznawałam życie robotnicze, znajdując serdeczny

²² Marian Jaworski (1912–1967), działacz komunistyczny, członek PPR (od 1942 roku), wice- minister rolnictwa (1953–1956), I sekretarz KW PZPR woj. warszawskiego (1958–1967), poseł do Sejmu (1952–1967).

oddźwięk na swoje życzliwe słowa. Już rodziły się w mojej niespokojnej głowie plany i zamiary, już zaprzyjaźniłam się z wieloma pracownikami załóg robotniczych, zainteresowanymi życiem kulturalnym, zespołowym. To trwało niespełna rok.

Dostałam z Warszawy, z Ministerstwa Kultury i Sztuki, list od niewiasty współpracującej kiedyś z Jędrzejem Cierniakiem, od pani Oleńki Naborowskiej, która była w tym wysokim urzędzie naczelnikiem. Zaproponowała mi pracę w departamencie, który „opiekował się” ruchem tak zwanym amatorskim. Pożegnałam dobrych, rzetelnych ludzi w Związku Zawodowym, ludzi, z którymi już szczerze się zaprzyjaźniłam.

Zaczął się nowy okres mojego życia, a trwał trzy lata. Znowu jeździłam po kraju, tym razem jako inspektor do dziesiątków zespołów wiejskich, żydowskich, cygańskich, szkolnych...

Ale zanim znalazłam się w Warszawie, przeżyłam ciężką operację w wojskowym szpitalu w Łodzi. Dostałam się do tego szpitala dzięki partyjnym przyjaciołom. Miałam oddzielny pokój, niezmiernie troskliwą opiekę i dużo ciekawych przeżyć. Sama operacja kosztowała mnie sporo strachu, ale udawałam zucha. Już po zażyciu jakiegoś środka oszalamiającego kończyłam tłumaczenie rosyjskiej bajki, żeby do końca zająć myśl czymś innym, co oderwałoby mnie od tego lęku. Potem zabawiałam lekarzy i pielęgniarki jakimiś anegdotkami, aż zasnęłam na stole operacyjnym. Kiedy obudziłam się, stał nade mną lekarz, mój „operator”, i wpatrywał się we mnie trochę niespokojnie. Pierwszym moim odruchem pokierowała wielka wdzięczność do tego człowieka, w którego rękach było moje życie. Pocałowałam go w rękę. On pogłaskał mnie po głowie i powiedział coś pocziwego.

Długo cierpiałam, szczególnie z tego powodu, że miałam poranione nogi. Podobno tak się rzucałam, budząc się w czasie operacji, że mocno przywiązano mi nogi do stołu. Zupełnie tego nie czułam. Po tygodniu czułam się na tyle dobrze, że mogłam interesować się życiem szpitala. Dowiedziałam się, że w sąsiadującej salce, w której leżało sześć kobiet, jedna z nich była niezdolna, grymasna, despotyczna, po prostu zatruwała życie pozostałym chorym. Poprosiłam o zamianę: ja tam, ona tu.

Jakże szczęśliwe były z powodu tej zamiany moje towarzyszeki niedoli. A leżały w tej sali bardzo ciekawe kobiety. Jedna z nich była traktorzystką w kolchozie, Polka, dzielna, dobra dziewczyna. Obok mnie leżała żona kapitana radzieckiego, Rosjanka wychowana w kolchozie. Jej ojciec był „mistrzem” kolchozowej cegielni. Cóż to była za przemiła, dowcipna, serdeczna kobieta. Mówiła do mnie „Sofia Antonowna” i często powtarzała, że mnie lubi, że mamy podobne usposobienia i natury.

Niezmiernie interesujące stały się nasze wieczory. Wszystkie sześć kolejno opowiadałyśmy o sobie, o tym co robimy, jakie są nasze środowiska, co myślimy o świecie. To były pasjonujące rozmowy, które wkrótce przemieniły się w dialog nas, Polek, z Rosjanką. Najpierw ona opowiadała o Związku Radzieckim, o swoim kolchozie, o swoich studiach w Moskwie, o swojej pracy. Jeden wieczór poświęciłyśmy współczesnej literaturze i kulturze radzieckiej.

Nie zapomnę, jak zareagowała Rosjanka na dyskusję o religii, której to dyskusji przysłuchiwała się bardzo pilnie i dyskretnie. Prosiła, żebyśmy się na nią nie gniewały, ale nie może zrozumieć, o co nam chodzi. Co to jest ta religia? A kiedy tłumaczyłyśmy jej, jak która umiała, dziwiła się, mówiła, że rozumie, ale nie wyobraża sobie, jak można wierzyć w to wszystko, o czym tu słyszy. Roześmiała się wreszcie i powiedziała, że my tu się wadzimy o Boga, o wiarę, o Kościół, a ona jest wolna od takich problemów i niepokojów. Wtedy znów dyskutowałyśmy o tym, czy życie bez niepokojów i problemów jest pełnym życiem.

Upamiętniła mi się ta miła kobieta przede wszystkim dlatego, że była bardzo prosta, jej ruchy były bezpretensjonalne, czasem może zbyt rubaszne, ale jej wdzięk, pogoda, jasny chłonny umysł i jakaś dziecięca naiwność przy dużej wiedzy zjednały jej wszystkie chore i personel szpitala. Dla mnie była niesłychanie ciekawym i chyba typowym przykładem radzieckiej kobiety.

Bezpośrednio ze szpitala pojechałam do Warszawy, do pracy w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Czułam się jak człowiek zmartwychwstały. Byłam tak szczęśliwa, że jestem, że żyję, że widzę ten cudowny maj, kwitnące w Łazienkach i Ogrodzie Botanicznym bzy, że nie panowałam nad tą radością, aż ludzie zwracali uwagę na ten mój nastrój. Mieszkałam w Hotelu Poselskim. Synowie przyjeżdżali do mnie co sobota i cieszyli się razem ze mną Warszawą i warszawskim majem. W parkach zielone gałęzie zasłaniały kikuty połamanych, potrzaskanych pociskami drzew, na ulicach roili się ludzie, wywożono gruzy, stawiano nowe domy, odbudowywano Starówkę i Krakowskie Przedmieście.

Co dzień o godzinie piątej wstawałam, biegłam do parku Ujazdowskiego, zjadałam po drodze jakąś bułkę i szłam do swego ministerstwa. Wszyscy tam wydawali mi się wspaniałymi ludźmi i trzeba było dużo czasu, żebym się zdobyła na trzeźwy osąd i poszczególnych osób, i pracy w ministerstwie.

Niedługo dostałam mieszkanie. Na Krakowskim Przedmieściu. Przyjechali chłopcy. Popędziliśmy, jak na skrzydłach, do naszego, pierwszego w życiu, własnego, prywatnego mieszkania. Jakże wydało nam się ono śliczne, mile... Chłopcy biegali, oglądali każdy zamek, każdą śrubkę, macali ściany, ramy okienne. Spaliśmy na podłodze na jakichś płaszcach. Byle już na swoich śmieciach.

Starszy syn zaczął uczęszczać na Politechnikę Warszawską, młodszy do liceum na Żoliborzu. Ciocia Lena została w Łodzi, chciała być samodzielną, miała piękną

ny pokój, zżyła się z ludźmi. Z nami przyjechała Józia, nasza opiekunka z Lutczy²⁴ w Rzeszowskiem. Ja byłam „ojcem” utrzymującym rodzinę. Józia „matką” zatroskaną o drobiazgi codziennego życia. Bardzo nam było dobrze, chociaż moje zarobki, bardzo skromne, ledwie starczały na utrzymanie pięciu osób. Mieszkanie w Łodzi i utrzymanie Cioci to naturalnie był także mój wydatek.

Praca w Ministerstwie Kultury i Sztuki pochłaniała mnie. Lubiałam ją. Wierzyłam w to, że razem z gromadką bliskich mi ludzi zrobimy cuda. Najserdeczniej zżyłam się z Joanną Munk-Leszczyńską, z panem Zbigniewem Zambrzyckim i Marią Przychodzińską. Z Joanną i Zbyszkim jeździliśmy razem na inspekcje. Ona „po linii” tańca, on – muzyki, ja – teatru i wszystkiego, co świetlicowe, zespołowe, „amatorskie”. Przeżyliśmy wiele ładnych, dobrych chwil, wiele wzruszeń. Żadne z nich nie znało właściwie wsi, a zrozumieli sprawę wsi, moje widzenie tej sprawy, ideę ruchu ludowego.

Mogłabym opowiadać dużo niesłychanie ciekawych historii o ludziach, zespołach, środowiskach, które poznawałam. O teatrze żydowskim i sztukach Pereca²⁵, które mnie oczarowały, o cygańskim zespole zawstydzająco szmirowatym, kryjącym szajkę złodziejską, i innym zespole wzruszająco pięknym, składającym się z rzetelnych ludzi i zdolnych artystów. O zespołach wiejskich, jakże różnych, często bezradnych, czasem zadziwiających organizacją i poziomem swojej wiedzy artystycznej i wychowawczej.

Chłonełam to wszystko, robiłam plany, pomagałam ludziom realizować je i pisałam, pisałam – sprawozdania i wnioski. Zapisalam wiele urzędowych arkuszy. Czekałam na zainteresowanie się czyjeś tymi sprawozdaniami i wnioskami. A moje podróże kosztowały (choć wszędzie prawie mieszkałam u przyjaciół i wydawałam na siebie minimalnie) i zdawało mi się, że jeśli powierzono mi to wnioskowanie... Zdawało mi się tak długo. Wreszcie, kiedy nikt nie interesował się moją pracą, naszą pracą, bo dotyczyło to również moich kolegów, uświadomiliśmy sobie tę prawdę, że marnujemy czas i pieniądze państwowe. Próbowaliśmy szukać wyjścia z tego bezruchu, z tego martwego urzędowania.

Widzieliśmy potrzeby ruchu zespołowego w kraju, poznawaliśmy ludzi gotowych do poważnych wysiłków, słyszeliśmy wołanie o repertuar, o instruktorów niezawodowych, a znających odrębność i możliwości twórcze artystycznego ruchu ludowego. Wspominaliśmy czas, w którym kilkoro ludzi rozpętało ruch artystyczny.

²⁴ Lutcza, wieś w pow. strzyżowskim (woj. podkarpackie) w gm. Niebylec. Miejscowość stara, założona w XIV wieku, wzmiankowana przez Długosza. Siedziba parafii. Zabytki: drewniany kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny z XVII wieku, dwie kaplice, cmentarna i na terenach podworskich, oraz 60 małych kapliczek.

²⁵ Iechak Lajb Perce (1852–1915), pisarz żydowski, piszący w Polsce w języku jidysz, autor poezji, nowel i sztuk teatralnych.

...samorodny w całym kraju, ruch, w którym nawet repertuar tworzyli sobie sami, kierowani potrzebą wypowiedzenia społecznych, aktualnych treści. Żyliśmy ciężko pewną inspekcję w ministerstwie, której dokonywała „Wikuszka”, czyli pani inspektor z NIK. Otóż pani ta zadawała sobie taki obrót wszystkim sprawozdaniom i wnioskom i poszła z nimi do ministra. Kończyła o realizowanie jakichś postulatów, podsuwała ministrowi nasze uwagi i pytała, czy ktoś je czytał i rozpatrywał. Okazało się, że nawet nikt nie pytał.

...o mi bardzo gorzko. Ze wstydem słuchałam głosów ludzi ze wszystkich krajów, szukających rady i pomocy. Pomocy tej udzielić nie mogłam, obiecywać nie było mi wolno. Zwróciłam się do ministra prośbą o pozwolenie zrealizowania przynajmniej jednego z moich projektów.

...prosiłam o pozwolenie spędzenia jednego bodaj miesiąca na wybranej przetransformacji wsi: zorganizuję tam zespół i zacznę z nim pracę, która stałaby się wyrazem życia środowiska, byłaby naprawdę wysiłkiem zespołu ludowego, nowego. Pozwolenie takie otrzymałam. Miała to być praca przykładowa, której, jeśli plan mój się uda, będę mogła napisać w „Teatrze Ludowym”²⁶ dla przykładu innym wiejskim zespołom.

Wybrałam Godzianów²⁷ w powiecie skierniewickim. Była to wieś żyjąca tradycjami obyczaju ludowego i ruchu ludowego, skłócona wewnętrznie, ale, jak pisałam, twórczo. Do zorganizowanej tam spółdzielni produkcyjnej większość mieszkańców Godzianowa odnosiła się nieufnie. Organizatorów spółdzielni znałam i szanowałam, chciałam im pomóc. Właśnie stanęła pod dachem nowa spółdzielcza obora. Jej wnętrze wydawało mi się idealną, wielką sceną widowiskową. Pojechałam tam z napisaną przez siebie sztuką pod tytułem: *Trzeba zbudować most*. Tak powiedział Lenin do kolchoźników, którym polecał bliskość i współpracę z gospodarzami pracującymi na własnych ziemiach.

Sztukę wystawiliśmy w onej oborze, po miesiącu. Przyjechali na przedstawienie delegaci z ministerstwa. Niestety byli to ludzie tak dalecy od wsi i jej problemów, że nie zdołali nawiązać łączności pomiędzy czynnikiem urzędniczym

²⁶ „Teatr Ludowy”, czasopismo poświęcone amatorskiemu ruchowi teatralnemu wydawane w latach 1920–1970, z przerwami (1939–1945 i 1950–1957). Pismo zamieszczało nie tylko artykuły publicystyczne, ale również materiały poradnicze oraz propozycje inscenizacji literackich. Kontynuacją „Teatru Ludowego” był miesięcznik „Scena” (1970–1990).

²⁷ Godzianów, wieś w pow. skierniewickim, siedziba gminy i parafii (kościół pod wezwaniem Świętego Stanisława z początku XX wieku), wieś zasobna w instytucje oświatowe (Zespół Szkół Ogólnokształcących i Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych). W Godzianowie urodził się Stanisław Jagiello (1905–1990), żołnierz BCCh, poseł (1947–1952), zastępca redaktora naczelnego „Zielonego Sztandaru” (1957–1972).

a wsią. Z godzianowiakami związałam się, chociaż i oni byli mocno skłóceni, tym razem z winy miejscowych działaczy, których sprawy ambicjonalne zaważyły na stosunkach w środowisku. Sama rzecz, którą urzeczywistniałam, udała się. Zespół godzianowski wykazał nie tylko zdolności aktorskie, ale przede wszystkim tę wrażliwość na zespołową twórczość, która warunkuje pracę w każdym zespole ludowym (nie „amatorskim”).

Dni spędzone w domu z dziećmi, potem i z Ciocią Leną, która w końcu przyjechała z Łodzi, były dniami szczęśliwymi. Cieszyłam się chłopcami, starałam się nagrodzić im wszystkie, czasem karygodne zaniedbania z lat dawnych. Nadal łączyła nas przyjaźń. Szczególnie młodszy Wojtek dobierał sobie kolegów bardzo ciekawych, serdecznych. Do matury przygotowywał się z trójką przyjaciół, spośród których Marysia Michajłowa, córka profesora, zjednywała mnie najbardziej jako wyjątkowo poważna, dobra, mądra, pełna wdzięku dziewczyna. We czworo uczyli się w naszym domu, widziałam ich pracę i przyjaźń. Tak jak w Korniaktowie, w Rabce, Handzlówce i w Łodzi syn mój żył w kręgu miłych dzieci, a potem – bardzo wartościowej młodzieży.

Starszy – Andrzej był domatorem o innym nieco charakterze. Na młodszego brata patrzył z ojcowską troską, cieszył się jego pracą, zdolnościami, towarzyszył mu, gdzie tylko mógł, obaj chłopcy czuli się ze sobą dobrze. Interesował się też, ten starszy, moim życiem i moją pracą, przyjaźnił się z ludźmi, których znał lepiej niż młodszy brat, ludźmi z mojego kręgu przyjaciół. Dobierał sobie zawsze jednego kolegę, poważnego, rzetelnego człowieka. Praca na politechnice pochłaniała go i przysposobiała do pracy konkretnej, technicznej, inaczej niż młodszego – środowisko humanistów i artystów.

Mimo różnic w zainteresowaniach synowie moi mieli dużo wspólnego. Obaj, bo i ten młodszy, byli technikami. Obaj majstrowali od dzieciństwa, razem przy różnych machinach, urządzeniach i instalacjach. Obaj rośli na ludzi rzetelnych i skromnych. Szli w życie z wiarą w przyszłość tego, co w szerokim, ludzkim znaczeniu przywykliśmy oboje z mężem nazywać socjalizmem, naszą bratnią, w środowisku myślicieli i robotników zrodzoną ideą.

Profesor Stasiak przebywał teraz na stałe w Londynie. Pomiędzy Londynem a Warszawą nawiązała się stała łączność. Profesor pisywał do mnie i do Cioci Leny, ja do niego od czasu do czasu informacyjnie, za to Ciocia długie, piękne listy – pamiętniki, wiersze, prozę poetycką, jakieś psalmy tworzone w natchnieniu. Ta trzeźwa, zorganizowana kobieta przemieniła się w „hymn miłości”, wmodlony w istotę prawie nierealną, jaką był profesor. Pod jego wpływem kontemplowała „Agni Jogę”, studiowała filozofię hinduską, łączyła bóstwa i idee w jedną, wszystko ogarniającą Miłość.

A ja... kontemplowałam opowiadania Marysi Maniakówny o Pawiaku i Auschwitz²⁸. Co dzień, a jeśli nie mogłam, to co kilka dni biegałam na Puławską, gdzie mieszkały obydwie Marysie oświęcimianki: Maniakówna i Babska. Siadałyśmy w kuchence, bo tam było najprzytulniej, i odbywało się „nabożeństwo”. Celebrowałam je – ja... bo Marysie, a najczęściej mówiła Marysia Maniakówna, opowiadały tak prosto, bez pretensji do „męczeństwa”, że aż mnie to gorszyło. A swoją drogą to były niezwykle opowiadania. Niestety nie dadzą się odtworzyć. Na świeżo, dzięki temu sugestywnie, wstrząsająco działały te opowieści. Czytałam chyba wszystko co napisano o Auschwitz, jednak to, co mówiła Maniakówna, przewyższa wszystkie relacje ogromnym polem widzenia, głębią spojrzenia na ludzi i zjawiska, wzruszającą siłą, którą sprawdziła się „idea wiciowa”, bo ją widziała opowiadająca u źródeł swojej własnej siły, o której nie musiała mówić. Czulo się ją w każdym obrazie, w każdym po prostu opowiedzianym wydarzeniu.

Ktoś powiedział, że to jest zacieśnianie ludzkiego horyzontu, że „Wici” były przecież jedną z organizacji młodzieży, owszem, ideową i piękną, ale ograniczoną do pewnego kręgu zjawisk. Całym sercem godzę się z Marią Maniakówną w tym, że dla nas to nie była organizacja młodzieżowa tylko. W ideologii „Wici” było wszystko, co w trudzie pszczelim, w natchnieniu młodości, w mądrości naszej krytycznej myśli pozbieraliśmy z chrześcijaństwa i pogaństwa, z myśli chłopskiej, z filozofii, religii i poezji świata. Byliśmy jak filareci²⁹ i bracia polscy, jak Przełęcki i biskup Benvenuto, jak Gandhi, jak Sacco i Vanzetti. To wszystko było w nas. Dlatego Marysi wierzę: jej obyczaje, jej etyka, jej siła – były i są wiciowe.

Pewnego razu rozmawiałam na jakimś zebraniu z Leonem Kruczkowskim. Kiedy usłyszał, że nie czuję się w pracy dobrze, bo nie jestem dość pożyteczna jako urzędnik, wyraził pełne zrozumienie tego mojego stanu ducha, co więcej, doradził, żebym wybrała sobie miejsce w kraju na swoją nową pracę, na prowadzenie zespołu artystycznego, jednocześnie wychowującego, przemieniającego środowisko, a on mi pomoże wytargować w Ministerstwie Kultury i Sztuki zgodę na takie oryginalne przesiedlenie się z etatem ministerialnym na wieś. Napisał więc Kruczkowski do ministra takie oto pismo, którego odpis mam u siebie:

Działalność reżyserska ob. Zofii Solarzowej jest mi znana z ostatnich lat przedwojennych. Obejmowała ona inscenizacje pieśni i obrzędów oraz wybitnych utworów poetyckich o tematyce społecznej.

²⁸ Maria Maniakówna tylko w tym najściślejszym gronie „opowiadała” o tym co przeżyła w alei Szucha, na Pawiaku i Ravensbrueck.

²⁹ Zgromadzenie Filaretów, tajna organizacja młodzieży wileńskiej (1820–1823), mająca w programie w pierwszym etapie działalność wychowawczą, w następnym niepodległościową. Prezes: Tomasz Zan (1796–1855). Organizacja została rozbita wskutek licznych aresztowań.

Niektóre z nich wywierały wrażenie niezapomniane, wrażenie prawdziwych osiągnięć społeczno-artystycznych, w których szczerłość i świeżość inwencji teatralnej oddane były całkowicie służbie ludu, jego walki i jego dążeń wyzwoleniczych.

Jestem głęboko przekonany, że ob. Solarzowa powinna kontynuować pracę reżysersko-inscenizatorską, na pewno ma w tym zakresie niejedno twórcze zadanie do spełnienia.

Pisał to Kruczkowski 7 listopada 1952 roku. W piśmie swoim podkreślił moje zadania artystyczne, bo przecież chodziło o zgodę Ministerstwa Kultury i Sztuki, a nie Ministerstwa Oświaty. Ale w rozmowie naszej na plan pierwszy wysuwaliśmy zadania wychowawcze, które trzeba pełnić poprzez pracę twórczą, artystyczną.

Minister zgodził się. Pozostawił mi swobodę wyboru miejsca. Wtedy wiceminister Wilczek³⁰, którego rodzice prowadzili kiedyś aptekę w Poroninie, zaprosił mnie na rozmowę i podsunął propozycję wybrania sobie tego „miejsca na ziemi” na Podhalu. Czułam, że jest serdecznie zainteresowany sprawami tego cudownego regionu.

Nie namyślałam się długo. W Rzeszowskie nie chciałam iść, chociaż serce wrywało się do gackich pól... Nie chciałam narzucać władzom myśli o upartym moim trzymaniu się przedwojennego „kolka w płocie”. Wiedziałam, że byłabym tam bardzo skrupowana. Odpowiadało mi przejście do zupełnie nowego środowiska, tym bardziej do tak twórczego i trudnego, jakim jest Podtatrze. Znałam stosunki w okolicach Zakopanego z inspekcji, szczególnie częstych z powodu trudności środowiskowych, które hamowały rozwój góralskich zespołów artystycznych. Jeździliśmy na inspekcję ministerialną kilkakrotnie z Joanną i Zbyszkciem do Kościeliska, Zakopanego i Białego Dunajca. Znałam dobrze ludzi, którzy mieli monopol na reprezentacyjną góralszczyznę, a przede wszystkim znałam historię Podhala, myśl Chałubińskiego i Witkiewicza, wszystkich wybitnych ludzi kochających Podhale i współdziałających z góralami. Oboje z mężem byliśmy sercem związani z góralszczyzną, ja osobiście ze środowiskiem twórczym Zakopanego jeszcze w dzieciństwie.

Przypomnieliśmy sobie z Joanną i Zbyszkciem Białą Dunajec. Ta ogromna wieś, chociaż góralska, ale prawdziwie wiejska (zakopianie mówią pogardliwie „wsioki”), w której żyła piękna tradycja pracy artystycznej i wychowawczej Antoniego i Heleny Zachemskich³¹ i Anieli Gut-Stapińskiej, a w której aktualnie

³⁰ Jan Wilczek (1916–1987), prozaik, autor słynnego „produkcyjniaka” *Nr 16 produkuje* oraz nagrodzonej książki *Banda*. Wiceminister kultury i sztuki (1952–1956), następnie przez wiele lat pracował w Teatrze Telewizji.

³¹ Antoni Zachemski (1903–1941), poeta, reprezentant regionalizmu podhalańskiego. Zginął w Auschwitz w 1941 roku. Helena Zachemska (1909–1980), pisarka, działaczka kulturalna Pod-

nie było zorganizowanego życia społecznego i artystycznego, pociągała mnie szczególnie. Ministerstwo sugerowało Kościelisko, ale bałam się konfliktów z wybitnymi ludźmi, którzy tam działali, mieli swoją wizję życia i pracy zespołu, obyczaju społecznego i ambicji tej wybitnie oryginalnej, iście tatrzańskiej wsi.

Kiedy mi powiedziano w Komitecie Wojewódzkim PZPR, że Biały Dunajec to wieś pijaków i bitników, dano przykłady okrutnych bitew i awantur dunajec-kich, jeszcze bardziej zapragnęłam tam zamieszkać i współpracować z ludźmi. Nie wierzyłam w powszechność tego awanturnictwa we wsi liczącej ponad czter-ry tysiące mieszkańców, byłam pewna, że są tam poważni gazdowie i zdolna do-bra młodzież.

Pamiętam nasze spotkanie inspektorskie z kapelą i gromadką dunajczan, którzy kiedyś uczestniczyli w życiu zespołu. Zeszli się chętnie, trochę nieufni, ale spragnieni odmiany, jakiegoś ruchu życia zespołowego. Zbyszek Zambrzyc-ki wysoko ocenił kapelę Jaśka Duszy. Mnie urzekła młodzież: jasna twarzyczka Zosi Zapotocznej, mocna sylwetka Anieli Szczepanowej, szczere oczy Franka Hazukowego, powaga Duszy i opanowanie rozważnego Władysława Gondka, człowieka wyrobionego i nazywanego „panem” w Dunajcu, ale jakże cudowne-go w tańcu, w słowie góralskim, w honornej postawie i szczerze objawianym mi-łośnictwie góralszczyzny.

I oto znów nowa praca, nowe środowisko, nowy okres życia, w którym jednak nie zmieniło się moje przyjaciółstwo z ludźmi, nie wygasł ogień zapалу do współpracy z nimi, z młodzieżą. Nie zabrakło mi sił, mimo niełatwego życia, do podjęcia nowej trudnej roboty.

Zaczął się ciekawy czas, szesnastoletni czas białodunajecki.

hala. Przed wojną grała wraz ojcem i dwoma braćmi w słynnej orkiestrze Parów, która brała udział w Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie (1936). Po wojnie nauczycielka muzyki.